

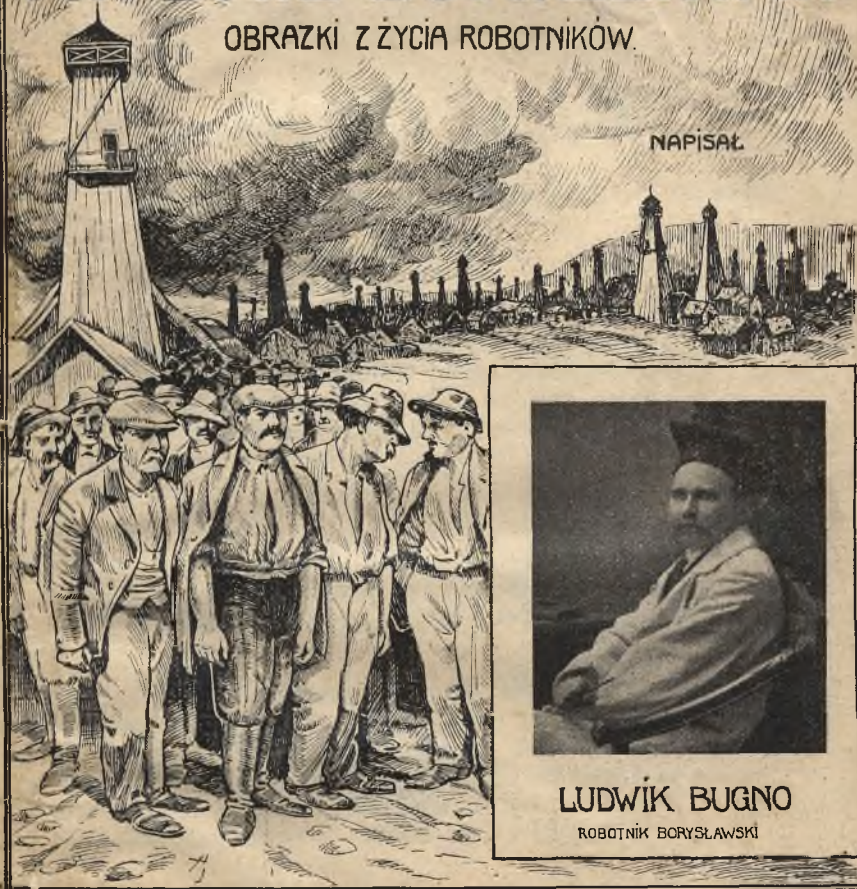
172841

II

NA DNIĘ BORYSŁAWIA

OBRAZKI Z ŻYCIA ROBOTNIKÓW.

NAPISAŁ



LUDWIK BUGNO

ROBOTNIK BORYSŁAWSKI

NAKŁADEM AUTORA.
„DRUKARNIA POSPIESZNA“, UL. CHORAŻCZYŹNY 23.
LWÓW — 1913.

8863

167

LP I 4c.

172841

II

G. Gusislovic

K. d. Stanechi 2047

29.8.67,

5, -r



BORYSŁAW.

(Wstęp do większego poematu pod tym tytułem).

Gdy z ognisk opuszczonych iskra się wrywa,
Błyska światłem w wolności, świeci blaskiem żywa,
Znaczy swój tryumf krótki nieraz wrogim darem,
Zapala palny żywioł i niszczy pożarem
Ludzką pracę, w płomieni żar wrogi roztlona.

Spójrzmy w krainę nafty, kędy ziemia z łona
Wyrzuca z szumem szybów ślady życia stare,
Dając je swoim dzieciom, by zbudzić w nich wiarę
W moc ducha żarzącego z głębin warstw płomieniem.

Lecz darmo się wyteża, bo duch zżyty z cieniem
Próżniactwa i głupoty nie zapłonie, mdleje,
Milczy w roślinie ciała, ukrył życia dzieje
W cierpliwość na czas długi i wątpi w niewierze,
Darmo czeka, w człowieku widząc tylko zwierzę,
Syte obłudem wieków, wśród nędzy kałuży.

Śmierć zbiera plon spokojnie, nie lęka się burzy
Buntu. Wiedzie ją litość, kędy zmiłowania
Moc nikomu nie służy.

Na łożu konania
Przyszły genjusz ludzkości nieprzerwanie kona,
Śmierć go dźwiga z obłędu, przytuła do łona

I zimnego do ziemi po rozum odsyła.
Ta milczeniem go wita, jak wieczna mogiła,
W jedną całość złączywszy wszystkie zwiędłe serca.
Więc pytać się należy: Kto życie morderca,
Gdzie on skrył się na świecie do kryjówki bram
I skąd cicho wychodzi na tajemne łowy?

Może śmierć dla igraszki ścina ludzkie głowy?
I któż tak głupio rządzi? Bóg? Nie! Człowiek sam..
Kto czarę życia dzisiaj do dna zgłębić zdolny?
Czy nikt niegodny tego? Duch poety wolny
Pieśnią błędy wiekowe nieznacznie potrąca,
Siła słów jego cicha, choć taka gorąca,
Że błąd myślą przeczytany w nicość wieczną pada,
Pieni się, bryzga jadłem i przekleństwem gada,
Pragnieniem zemsty dyszy i od zemsty pęka.

Poeta nie dba o nic, śmierci się nie lęka,
Idzie śmiało przez życie, nie zna żadnej trwogi,
Snuje godność tworzenia i nią życia drogi
Wieńczy, w pracy tej nigdy nie schylając czoła,
I śmiało z gniazd obłudy do serc ludzkich woła.

O czarny Borysławiu, nadziejo naciarczy,
Coś cmentarzem pieniędzy, obozem nędzarzy,
Co kwitniesz dla przemysłu i tęsknisz w żalobie,
Co siejesz hojnie złotem po wysypów błocie,
Co jesteś trumną marzeń, zakopanych w tobie —
Zapomniałeś o życiu, miłości i cnocie!

Groźnyś dzikością, szyby twe — lichwy pomniki.
Sygnały trąb parowych, jak upiorów krzyki,
Ślą pieśń smutną w westchnieniach aż po Karpat szczyty,
Zwartą z dymów smugami przez ciche błękity,
W tonach bólem targanych. Z żądzą twego płodu
Przy źródle słynnych bogactw tańczy widmo głodu.

Choć minerały, które twe głębie wydają,
Wartość mają wysoką, drogo się sprzedają,
Tyś ponury, obdarty, u stóp gór Beskidu
Drzemiesz płonną nadzieją, kryjesz się od wstydu
Sporcone, usmolone robotnicze twarze
W jarzmie dzikiej głupoty kryją twoje budy.

Jesteś symbolem ludzkiej, spodłonej ułudy,
Na kopcach serc złamanych dymią twe ołtarze.

Na dole przemysł ludzki w głębi ziemi wierci
Nad ziemią się unosi groźny upiór śmierci,
Dymy i gazy ropne w jedną chmurę spędza,
Głosem dymów wołając: Wyzysk !... Głód !... Nędza !..

Z jakim cię, Borysławiu, mam malować sercem,
Twe niwe nieubrane łąk barwnych kobiercem.
Czy dla pamięci wieków nic nie znajdę w tobie ?
Szukając w tobie piękna, zda mi się, żem w grobie
Zmarłej sztuki, gdzie duch ciężko wzłata
Z pól obsiadłych dymami w górny przestwór świata.

Borysław.

Ludwik Bugno
robotnik-nafciaż

W szynku.

Wczesny zimowy mrok zapadał nad doliną, znaną powszechnie w świecie roboczym pod nazwą „Borysławskie piekło”. Tysiące drobnych lamp elektrycznych, stanowiących jedyną ozdobę błoni naftowych, błyszczały czerwono-białym światłem. Blask ich gubił się w nawałnicy śnieżnej, która szalała poprzez ulice i place.

Wszystko, co żyło, uciekało do ciepłego kąta. Wieże szynków naftowych, pokryte grubymi warstwami śniegu, skryły się w mroku. Tylko szelest setek maszyn dawał z nich znaki odbywającej się tam pracy. Wytrwali Mazurzy, zatrudnieni w kopalniach nafty, niezważają na zimno, więc wesół głos „Hej! gotów!”, oznaczający zapięcie werbla, płynął z wichrem.

Krzywe borysławskie szatry, służące za mieszkania, odziane grubą warstwą śniegu, przy blasku lamp ulicznych wyglądały nieco dumniej niż podczas dnia. Widok bowiem tej okolicy za dnia jest niezgodny z jego wartością. Miejscowość, w którą włożono i z której wyprodukowano tyle milionów, nie ma żadnej budowli, którąby można nazwać ludzką. Wszystkie budowane są z cienkich odrzynków drzewa, wnet też próchnieją, przyczem pochylają się w stronę północną, skąd wilgoć największa się dobywa.

Dzisiaj tych budowli nie można było należycie okiem obejrzeć, bo tumany śniegu waliły w twarz i zasłaniały świat boży. Mało kto biegał po chodnikach, zbitych z desek wzdłuż ulic. Kawiarnie, mieszczące w sobie wszelką drogo opłacaną rozpustę, świeciły pustką, ale zato brudne szynki przepełnione były robotnikami, znanymi w Borysławiu pod nazwą „baraby”. Robotnicy ci nie znają innego pomieszczenia prócz szynku, a do roboty najmują się z ulicy, jednak mało kiedy na dłużej jak na jedną szychtę, z tem, że szychta ta musi być codziennie zapłaconą.

Szynkom, w których ci robotnicy przebywają, warto się przypatrzeć, ale przebywanie w nich jest nieznośne z powodu

smrodu i zaduchu, jakie wydaje natłok brudnych gości. Różnią one się wielce od porządných restauracyj. Zamiast marmurowych stolików, są tu brudne, długie z nieheblowanych desek ławy, zamiast krzeseł ławy niższe, a zamiast dzienników i obrazów na ścianach robactwo. Bufet stanowi brudny, olejem osmarowany szynkas, otoczony górą kratką drzewianą. W kratce tej znajduje się okienko otwierane, przez które właściciel szynku wydaje trunki lub przekąski. Chociaż w tych szynkach taki brud, takie niechlujstwo, wesołość tu straszna; śmiechy i śpiewania nie ustają aż późną nocą. Goście tu przebywający są z tej nory zupełnie zadowoleni; nie myślą nigdy o lepszej wygodzie, na którą ich niestać. Śpią na gołej podłodze a żywią się, byle żyć. Pożywienie ich stanowi śledź z wódką i chlebem lub też olbrzymie pierogi z kartofli, leżące tu stosami na szynkasie do sprzedaży jako zakąska. Jedyną rozkoszą tych gości jest zapicie się tak, by zostać bez duszy i pamięci. Z częstego takiego przepicia tracą pamięć, nie wiedzą często, skąd są rodem, czy mieli braci siostry i t. d.

Ich rodzina to wszyscy ci, co śpią z nimi na podłodze w szynku, a najlepszy przyjaciel ich to ten, co najwięcej wódki wypije i drugim przytem zapłaci. Władzy żadnej nie uznają oprócz gospodarza szynku, a umundurowanie ich stanowią brudne łachmany, których nigdy z siebie nie zdejmują, dopóki z nich same nie spadną. Kobiet między nimi nie napotka wcale, bo te z nimi nie obcuja wcale, a jeśli tu która zawita, to musi być bardzo silna, odważna a przytem skończenie brzydka. Każdą, jaka tu zawita, uważają za wspólną żonę, oporu nie stawia im żadna, gdyż ulegnie przemocy, wołanie o obronę napotka tylko na szyderstwo. Właściciela szynku, choćby się działał jak najniegodziwsze rzeczy, nie obchodzi to wcale. Patrzy na wszystko obojętny. On dba tylko o to, aby mu półkwatki zwane tutaj „bodakami“ z góry zapłacono.

Szynki takie są przytułkiem wszelkich zbrodniarzy. Niejeden kryjący się przed okiem sprawiedliwości znachodzi w nich schronisko. Porządny człowiek tu nie zagląda, bo nie tylko niechlujstwo byłoby mu do niezniesienia, ale także zostałby tu natychmiast obrabowany. Gdyby zaś stawiał opór, otrzymałby dość guzów, na które tu niema zażalenia. Policja ma tyle do czynienia z awanturami po ulicach, że do tych nor rzadko zagląda, a na zażalenie ma odpowiedź: Pociąg tam pan łaził?

Tego wieczora w jednym z takich szynków, położonym na ulicy zwanej Drohobyckim Traktem, było bardzo rojno. Zadni goście, jacy tam się znajdowali, nie mieli nawet miejsca, żeby posiadać. Pełno ich było na ławach i pełno na środku izby. Gospodarz szynku, imieniem Berek, żyd barczysty o niedźwiedziej sile, chodził pomiędzy gości i wybierał pieniądze za noc-

leg. Noclegowe tutaj było opłacane z góry, a cena noclegu 10 h. musiała być wręczona szynkarzowi. Ten też pilnie patrzył, aby mu każdy z jego gości zapłacił, a gdzie kto śpi i na czym, nie obchodziło go to wcale.

Noclegowe zebrać niezawsze było mu łatwo a tembardziej dzisiaj, gdyż od kilku dni panowały wielkie mrozy i zamiecie a goście półnaczy nie mieli ochoty pracować. Wielu też z nich było bez grosza. O ile mogli, płacili jedni za drugich, ale nareszcie i tego zabrakło. Pozostało bez zapłaty przeszło dwudziestu. Z tymi targował się Berek, radząc im, aby szli w nocy na zdobycz. Lejba i Szmul, którzy tu byli stałymi agentami skradzionych rzeczy, przytakiwali radzie Berka.

Pomiędzy takimi, co nie mieli czem opłacić noclegu, znajdował się obdartus w wieku około trzydziestu lat. Ubranie na nim świeciło gołym ciałem, a na nogach zamiast obuwia widniały brudne szmaty obwiązane sznurkami. Do tego przystąpił Berek, zapalczywie wrzeszcząc:

— Michajło! Ja tobie mówię, że cię nocować nie będę. Poco tu zawadzasz dla porządných ludzi. Ja z ciebie nie mam nic. Wszyscy idą za gesztem, za robotą, a ty nie. Po co ty masz głodny tu siedzieć? Idź sobie na dwór. Ja takie ludzie nie chcę. I ja chcę żyć!

Michajło, bo takie było imię obdartusa, odparł na to załośnię:

— Tak! Możecie mówić, co chcecie, a ja gdzie pójdę bosi?

— Ny, co mnie do tego — odparł Berek. Co mnie do tego, że ty nimasz buty. Niechcesz, to nimasz, ci co chcą, to mają.

— Ja kraść nie będę jak drudzy, a zarobić bosi nie mogę. Bieriecie i tak dosyć pieniędzy od drugich, to mnie możecie przenocować na gołej podłodze. Więcej bierzecie za tę gołą podłogę jak za hotel.

— Nu, nu, stul pysk, ty małach, bo cię wyrzucę i pójdziesz w djabły.

— To cię podpalę — krzyknął Michajło.

Berek skoczył na to jak wściekły i już się miał rzucić na Michajła, ale tymczasem weszło znowu dwóch nowych gości z ładunkiem na plecach. Przybysze ci rzucili ciężkie zawiniątka na podłogę i obcierali pot z czoła. Baraby otoczyli ich wkoło. Stary Wasyl zawołał:

— No, aleście się znów obłowili. Co tam macie?

— Coby, metal, bo żelaza na taką zimę nosić niewarto. Trzeba się odzwigać a bez zysku.

— No, ale będziemy dzisiaj pić — zawołał Paweł.

— Tybyś tylko pił — zawołał Michajło. — Skąd to przynieśliście?

— Co tobie do tego, ty małach -- zawrzasał Berek — ty nie umiesz żyć, jak ci ludzie. Ty musisz zdechnąć!

— Wolę zdechnąć, aniżeli kraść.

— He, he, żałuje panów, to boso chodzi i niema gdzie spać — odpowiedział ktoś z tłumu.

— Panów nie żałuję — odpowiedział Michajło — ale żałuję stroża, który na tej fabryce straci miejsce.

— To ty pójdziesz na jego miejsce. Jaki porządny człowiek a cały nagi i bosi. Pokażcie no to, Piotrze, możeby ja to kupił — zagadnął Lejba.

Tu przybyłe rozwinięły zawiniątka i dobywali z nich wентыle, injektory, kurki metalowe i t. p. drogie przedmioty, wchodzące w użytek techniki. Cenę za nie w krótkim czasie dobito. Lejba wszystko kupił za osiemnaście koron. Kwota ta co prawda widziała się sprzedającym za małą, ale Berek postawił już flaszkę wódki, którą oprócz tych pieniędzy zafundował Szmul, więc nie było czasu do namysłu. Trzeba było gardło zakropić. Lejba zaś więcej dać nie chciał, przysięgał się na żonę i dzieci, że to niewarte i tyle.

Sprzedawcy już nawet nie słuchali ostatnich jego wywodów, zasiedli koło brudnego stołu, schowali pieniądze do brudnej szmaty, włożyli do zanadrza i rozpoczęli poczęstunek. Obok wódki postawił Berek dwadzieścia sztuk pierogów na brudnych nieckach. Te znikły wkrótce w gardłach pierwszych z brzegu.

Dyskusya obok flaszki była bardzo żywa. Pierwszy z tych, co metal skradziony sprzedali, kłął na czem świat stoi na tłoczących się na niego kolegów, którzy nietylko chcieli zafundowania wódki, ale żądali zapłacenía za nich noclegowego, za co w krótkim czasie przyrzekali się odwzięczyć. Do tego zachęcał i Berek, tłumacząc, że koledzy powinni z kolegami żyć, że oni zapłacą innym razem i będzie zgoda.

Po chwili wahania sprzedawcy skradzionych przedmiotów zapłacili Berkowi za dwudziestu kolegów noclegowe z zastrzeżeniem tem, że jeśli się nie będą mogli pomieścić w szynkowej izbie, puści ich do kuchni. Berek się na to roześmiał i odparł:

— Co robić, trzeba żyć ze swoimi ludźmi. Gdzie się dziś podziąć na taką biedę. Ludzie w takiej zimie nie mogą sobie zarobić i bieda.

Wtem podszedł ku nim Michajło i prosił jednego, aby mu pożyczył dwie korony na buty,

— Co? — krzyknął tenże. — Kupisz papierowe buty i będziesz miał dwa dni. Nie możesz to iść gdzie na wieś i wprosić się na noc do jakiego gospodarza, aby mu ukraść buty lub chodaki?

Michajło na tę radę posmutniał i odparł, że kraść nie będzie.

— To zdechniesz — odpowiedział Pawło — Głupi jesteś! Tu z dawien dawna nie wyżyje nikt bez kradzieży. Sam pamię-

tam, jak pierwszy raz zaszedłem do Krochmalki. Żyd zbierał ludzi na nocną szachtę zawczasu, bo to było na szabes. Tych, co nie mieli butów, zanosili drudzy we worku na plecach na miejsce i tam ich spuszczano do jamy. Ja gdy ujrzałem pierwszy raz harabów borysławskich, zląkłem się bardzo, ale głód niedługo dał mi myśleć o strachu. Wnet sam zgodziłem się za pięć szóstek kręcić młynkiem do rana. Pieniądze dostałem z góry, kupiłem sobie chleba, wypilem wódki i poszedłem. Żyd postawił mnie przy młynku, który dał powietrze na dół dla robotników, dobywających wosk. Zamknięto mnie na kłódkę, no i stanąłem przy młynku i kręciłem. Kręcę, kręcę, kręcę parę godzin, aż tu w nocy ktoś do ściany puka, wołając:

— *Ty czujesz, sprzedaj wisk!*

Zdziwiony podszedłem ku ścianie i pytam, kto mówi. Wtem deska się uchyliła, a poprzez otwór ukazała się twarz brodatego żyda. Nie wiedziałem, o co się rozchodzi, ale wnet się dorozumiałem. Skoczyłem w kąt, gdzie leżał stos kłoców przetopionego wosku, porwałem jeden na ręce i podałem żydowi. Ten wyciągnął go w okamgnieniu z budy, wręczył mi banknot dziesięcioguldenowy i oddalił się. Ja kontent z obrotnego interesu kręciłem dalej korbą, wesoło wygwizdując kołomyjkę. Kupiec ten odwiedził mnie jeszcze później trzy razy, no i za każdym razem wręczył mi kloc, a on mi dziesiątkę. Na rano, gdy mnie mój pracodawca przyszedł wypuścić, miałem cztery dziesiątki w kieszeni, nie słuchałem nawet, co mówi do mnie, tylko wybiegłem wesoły na Borysław. Dzień przespałem za Borysławiem w dole, a wieczór przyszedłem znów do roboty z powrotem. Kupiłem sobie buty, ubranie, kapelusz, a resztę miałem w kieszeni. Gdy tak umundurowany spacerowałem w niedzielę po ulicy, ujrzałem niespodzianie mego pracodawcę, który leciał ku mnie, wrzeszcząc:

— Ty psiakrew! Ti małach! Tyś mię wyduł na dziady. Niech cię szlak trafi.

Czuając, co się święci, dalej nogi za pas i umknąłem w pole; poszedłem do Drohobycza. Z Drohobycza udałem się do Łupin na Węgry, gdzie robiłem dwa roky.

— To niejednemu się tak dawniej udało i teraz się jeszcze uda, ale na to trzeba mieć głowę nie taką, jaką ma Michajło — odrzekł Nykoła. Michajło chłop spokojny, on nie chce myśleć o niczem. Ot żeby się szyb gdzie zapalił, tobyśmy lepiej zarobili, a wtedy możnaby zrobić składkę i kupić mu buty. On ta tego nie warta, ale dla jego ojca nieboszczyka zrobiłbym to. Był to gazda dobry i bogaty.

Rozmowę tą przerwało znowu przyniesienie pełnej litrówki, którą rozpoczął Petro. Gdy wypito kolejkę, pośród najbliższych odezwał się Wasyl:

— Nie było to jak za dawnych czasów. Przy wosku prędzej człowiek zarobił, a teraz zima, to ani rusz, a pierwaj to się do jamy zapakował i dobre. Grzebał pod ziemią i ciepło mu było.

— Oj, prawda, prawda — odpowiedział Paweł. — Co dziś robić na takie mrozy. Ale psy od paru dni strasznie wyją, zdaje się, że będzie zmiانا.

— A może będzie pożar — zagadnął ktoś. — Psy zawsze przed ogniem wyją. Będzie już miesiąc, jak się żaden szyb nie palił. Dałby Bóg, żeby się zakurzyło. Na takiej zimie koło gąszenia dobra robota.

Michajło, który dotąd słuchał tej rozmowy, oddalił się w kąt. Był głodny a nikt mu nic nie dawał. Łzy mu się w oczach zakręciły i poczęły spływać po policzkach. Czuł straszną swą niedolę, a prosić o co nie miał odwagi. Usiadł sobie w kącie, oparł się o ścianę i zadrzemał. Śnił błogo. Zdawało się mu, że jest w domu rodzicielskim, widzi krewnych i przyjaciół, wszyscy się cieszą i przytulają go do siebie. Potem widział, jak faktorzy przyszedli do ojca kontraktować grunt pod kopalnię, a potem rozpacz ojca oszukanego przez lichwiarzy, woźnych przynoszących wezwania sądowe, komisye prawnicze, wreszcie wyrzucenie ojca z chałupy. We śnie przeżywał, co już minęło — jak się poniewierał z ojcem i matką po domach najemnych, bo dom własny został sprzedany za koszty sądowe, potem widział śmierć ojca na ulicy, pod ścianą szynku. To znów przed oczyma stawała mu umierająca matka. Zdawało mu się, że słyszy głos umierającej:

— Synu! Idź zawsze drogą prawdy. Cudzej własności nie tykaj. Szanuj godność ludzką! Znoś wszystko cierpliwie.

Gdy mu matka te słowa prawila, zdawało się mu, że opadł w jej zimne objęcia. Przez sen szlochał boleśnie, on biedny i obdarty Michajło, oparty o brudną ścianę szynkowej izby, w której się odbywały dzikie wycia pijanej zgrai.

Tymczasem Petro i Filip, którzy sprzedali skradzione przedmioty, wtoczyli się pijani pod ławy i tam układali przyszłą wyprawę na jakiś magazyn. Wasyl i Paweł wyli na całe gardło jakąś pieśń, a najbliżsi z nich wtórowali im. Szynkarz Berek nie wzywał do spokoju. Nie obchodziło go to wcale. Drzemał za szynkwasem tak spokojnie, jak milioner w poobiadowej godzinie. Hałas w izbie szynkowej nie przeszkadzał jego drzemce.

Wtem naraz umilkły śpiewy i wrzawa. Przeraźliwy głos kilkudziesięciu trąb parowych w targanych głosach wpłynął do izby niespodzianie. Wszyscy goście uciszyli się na chwilę, słuchając głosu trąb, które grały sygnał pożarny. Baraby, rozpoznawszy ten głos, poczęli wybiegać z krzykiem na ulicę.

— Pali się! Pali! — dochodziły z daleka donośne krzyki. Paweł potargał Petra za nos z wrzaskiem.

— A nie mówiłem ci, że nie na darmo psy wyją. Lećmy do ognia, może się da tam co zarobić!

— Chodźmy, chodźmy! — zawołało kilku naraz i wnet, kto tylko mógł z barabów utrzymać się na nogach, pospieszył w stronę pożaru. W izbie zostali tylko ci, co na nogach nie mogli ustać, w które wódka wlaża. Drzwi zostały otwarte. Wiatr przez nie rzucał na leżących tumany śniegu, a ci tego nie czuli wcale.

Berek również drzemał za szynkwasem twardo i spokojnie, bo miejsce, na którym jego obejście stało, było od kopalni daleko, więc pożaru się nie obawiał. Złodziei także się nie bał, bo sam był złodziejem i do tego złodzieje strzegli go lepiej, niżli policja. Michajło także drzemał dalej, oparty o ścianę.

Pożar.

Zanim pijany tłum wysypał się z brudnego szynku na ulicę, łuna pożaru oświecała już krwawo czerwonym blaskiem całą dolinę. Olbrzymie kłęby dymu zwijały się coraz to w większe chmury i dawały tem znak, że się pożar wzmacnia. Kilkadziesiąt trąb parowych grało bez przerwy w przeciągłych, rozpaczliwych głosach. Głos ten zaalarmował straż pożarną i zbudził śpiących mieszkańców.

Kto mieszkał w pobliżu ognia, rzucał się natychmiast do ratowania swego mienia. W bezpieczeństwo nikt nie dawał wiary, bo pożar rósł coraz gwałtowniej i zajmował coraz to szersze kręgi. Powstał zupełnie niespodzianie i z niewiadomych przyczyn. Na wzgórku ponad ulicą Potok, gdzie stała cerkiew, zapalił się najpierw jeden szyb wybuchowy, który produkował kilka wagonów ropy na dobę. Przerażliwa eksplozja obdarła w jednej chwili oszalowanie wiertniczej wieży, a z pomiędzy żebier, zwanych szprajsami, rozwinął się olbrzymi krwawo-czerwony sztandar płomienia.

Płomień ten pokrył natychmiast przestrzeń na kilkanaście metrów wokół wiertniczej wieży i stał się ognistą pokrywą dółów, które służyły do łapania ropy wybuchowej. Ropa zamaga-

zynowana w tych dołach paliła się z trzaskiem wraz ze szybem. Z robotników, których zwykle w każdym szybie zatrudnionych jest czterech, dwu padło ofiarą. Jeden spalił się całkowicie. Nie dobyto z niego, tylko same kości i te tylko z trudem wielkim wyrwano hakami. Drugi wydarł się z ognia, strasznie poparzony, z wielkim krzykiem. Odzież na nim obłana olejem paliła się płomieniem pół metra wysokim. Leciał więc jak żywa pochodnia na pobliski pagórek i na tem pagórku, zanim pomyślano o jego ratunku, padł i skonał. Dwaj inni, zatrudnieni w szybie, uciekli zdrowo, ale gdzie, nikt o tem nie wiedział; wiedziano tylko, że są żywi.

Wicher tymczasem dał gwałtownie, więc fala płomienia, kołyszac się, przerzuciła się wnet na sąsiedni zbiornik ropny, zbudowany z drzewa, który na nieszczęście był pełny. Gazy zawarte pod pokrywą zbiornika zajęły się, a eksplozja, ogłaszając ich zapalenie, wyrzuciła wysoko pokrywę zbiornika w powietrze. Pokrywa spadła na sąsiedni parkan, a na miejscu jej osiadł płomień i wzniósł drugi tuman dymu. Ściany zbiornika objęte pożarem przepaliły się w niespełna dwadzieścia minut, a zawarty w zbiorniku płyn rozlał się i płynął na dół ognistą ścianą. Ściana ta okrywała po drodze ogniem wszystko; wszystko, co napotkała, witało ją z szumem i w tym momencie okrywało się płomieniem. Szyby, budynki, magazyny, sklepy, parkany, jako też wszelkie zabudowania kopalniane stawały w jednej chwili w ogniu. Eksplozje powtarzały się raz za razem, a każda z nich wyrzucała w górę płonące deski, blachy i inne materiały, które spadając z powietrza, roznosiły pożar dokoła i powodowały nowe wybuchy. Szyb napełniony gazem, obłany ropą przy spadnięciu małej iskry staje cały w płomieniach. A tu leciały nie tylko iskry ale całe kłody, a wicher unosił je daleko i rzucał tam, gdzie nie mógł już utrzymać ciężaru. Tumany dymu powiększały się stale, aż nareszcie zakryły jedną chmurą cały horyzont. Płomienie błyskały z dymów długimi na kilkadziesiąt metrów językami ognistymi. Z chmury dymu padał jak deszcz nieprzerwanie rój ognistych iskier.

Paliły się 32 szyby naftowe, mnóstwo zbiorników ropnych i 80 budynków, nie licząc w to zabudowania kopalnianego. W ulicy Górny Potok dom zajmował się od domu, ogień tam przez dachy maszerował jak olbrzymi duch niszczyciel. O ratowaniu zabudowania szybu naftowego niema nawet mowy; drzewo spala się zupełnie a żelazo składa się w bezkształtny stos około otworu świdrowego, z którego wypływający gaz pali się nieustannie. Płomień z tego gazu chwieje się na wszystkie strony i nie da przystąpić blisko pożaru. A cóż dopiero, gdy nastąpi przy pożarze wybuch. Płyn ropny, pędzony z głębin ziemi siłą gazu, wybiega na powierzchnię. Tu staje słupem ponad otworem, nie-

raz dwieście metrów wysokim, i wznosząc się w górę płonie wspaniałą pochodnią. Pochodnia ta stoi tak długo, dopóki się wybuch nie skończy.

Tak wyglądał pożar tego wieczoru. Szum był straszny tak, że nie można było usłyszeć ludzkiego słowa. Kobiety i dzieci płakały, ale płaczu tego nie było słychać, bo szum ognia zagłuszył wszystko. Pomimo że było wtedy mroźno, śnieg tajał od gorąca, które niósł wicher od pożaru, na jaki kilometr wokoło. Biedni mieszkańcy ulicy Górny Potok zabierali na plecy: dzieci, odzież, pościel i uciekali w bezpieczne miejsca.

W jednym mieszkaniu najemnem mieszkali robotnicy naftowi, sami Mazurzy. Jeden z nich sprawiał właśnie imieniny, które rozpoczęły się wprawdzie jeszcze przed pożarem, ale i pożar nie przerwał zabawy. Pili i tańczyli ochoczo, a harmonia ręczna jęczała w izbie aż huczało. Żaden z uczestników nie lękał się pożaru, bo mienie swe lekko mógł unieść na plecach, zwłaszcza że stało już dawno spakowane i gotowe do wzięcia na ramiona. Dach się palił na domu, w którym się bawili, a ci jeszcze wywracali kieliszki i śpiewali. Dopiero, gdy płomień zajął oknem do chałupy — dalej kuferki na ramię i w nogi. Ci nie mieli tu więcej nic, cudzego nie pragnęli i o niczyje nie dbali.

Gorzej jednak rzecz się miała z kupcami i bogatymi obywatelami. Ci mieli dużo, więc nie mogli ratować sami. Potrzebowali pomocy. Na pomoc do ratowania napłynęła cała armia „barabów“. Baraby, którzy się wytoczyli ze szynku Berka, ratowali skład wędlin. Gruby, opasły masarz, nazwiskiem Milan, wraz ze żoną wydawał swe wyroby przez okno z prośbą, aby to odnosić do jego kolegi masarza, koło kopalni wosku. Baraby tylko krzyczeli: Dawaj pan, dawaj! brali na ręce, ile który mógł unieść, i znikali w tłumie. Każdy odnosił, gdzie mu się podobało. Co dopadł w ręce, uważał za swą własność. Milan, nie wiedząc o tem, wydawał do końca. Krew się w nim rozgrzała, poczerwieniał jak burak, a pot padał mu obficie z czoła. Ale gdy wybiegł na ulicę po wydaniu wszystkich prowiantów, ochłódł strasznie. Z uratowanych towarów nie ujrzał nic więcej, tylko tyle, co jego żona wyniosła we fartuszk. Reszta już wędrowała do żołądków, w kawałkach nieodważonych i niezapłaconych.

W podobny sposób odbył się ratunek w składzie mąki. Każdy podawał kupcowi plecy pod worek. Słaby nie słaby dobierał siły, wybiegał z ładunkiem na ulicę i znikał w tłumie bez śladu. Już nic w składzie nie było a ludzie się cisnęli, czy czego jeszcze няма. Kupiec, dziękując im za szczerość, zapytywał o towary. Tam, tam na dole, — odpowiadano zewsząd — tam nieśli. — Kupiec zabrał więc na plecy wagę i pobiegł na wskazane miejsce. Lecz w jakąż wpadł rozpacz, gdy tu nie i nikogo

nie zastał. Zrobił gwałt, wrzeszcząc na najbliższych barabów: Ny, a gdzie mąka? Wy małachy! Wy rabuśniki! Gwałt! Policja!

Wagę rzucił na ziemię i skoczył ku najbliższemu barabom, ci zaś nie czekali na niego, otoczywszy go z krzykiem:

— Co chcesz od nas żydzie? — wołali — My złodzieje u ciebie?

Zanim kupiec miał czas odpowiedzieć, posypały się na niego pięści, kije, kamienie, aż wreszcie upadł zlany obficie krwią. Wtedy ci, co bili kupca, znikli w tłumie a drudzy mówili:

— Mąkę wzięli ludzie, bo i takby się była spaliła, więc dobrze, że nie zagubi się, a ty żydzie stul pysk, ani marknij!

Taki sam ratunek, jak u masarza i kupca mąki, odbył się i po sklepach korzennych, w mieszkaniach urzędników, w szynku i wszędzie, gdzie tylko ratowali baraby.

Policjanta dla obrony ludzkiego mienia nie widział nikt. Straż pożarna, która przyjechała na ratunek, stała również bezczynnie i cofała się przed ogniem, bo nie miała wody, ani ludzi, którzyby wody dostarczyli.

Śmierć Michajły.

Michajło po wyjściu barabów pozostał jeszcze chwilę, drżąc oparty o ścianę, ale wnet go zbudziło zimno, które naszło przez otwarte drzwi. Wstał na nogi, przeciągnął się i rozglądał się po izbie, zapytując sam siebie, co się stało. Nie mógł tego zrozumieć, dlaczego izba pusta. Ale gdy przez otwarte drzwi zobaczył łunę pożaru, dorozumiał się, co jest. Popatrzył chwilę w stronę katastrofy i wnet mu przytem przyszła myśl do głowy, aby tam iść. No, ale jak tam iść? Głodny był strasznie, a przytem zamiast obuwia miał tylko szmaty. Pościągał je więc sznurkami, podszedł do drżmiącego Berka i począł go budzić. — Berek zbudziwszy się zapytał:

— Co chcesz?

— Panie Berku! Ja jestem strasznie głodny.

— Co chcesz? — wrzasnął Berek — Ja ci mam dawać darmo?

— Ja nie chcę darmo — odparł Michajło.

— Nu, a jak? zapytał Berek.

— Petro za mnie zapłacił noclegowe, ja spać tu nie będę, więc dajcie mi za tych pięć centów chleba. Zjem i pójdę ku ogniewi, może się da co zarobić.

— Co? — wrzasnął Berek — Co ci mam dawać? Ty małach! Masz zapłacone, to spij, ja cię nie wypędzam. Jutro pójdziesz, gdzie chcesz. Możesz spać, możesz złamać pysk, co mnie to obchodzi. Porządni ludzie popłacili za nocleg, a widząc, że się pali, poszli za zarobkiem. Ty próżniak! Ty ryzykant. Ty chciałbyś darmo żyć. Ty musisz zdechnąć. Daj mi pokój, mnie boli głowa, ja gaszę lampy i idę spać.

Michajłowi zakręciły się łzy w oczach. Czuł zawrót głowy, więc wybiegł bezmyślnie na ulicę. Nie czekał już, zanim Berek lampy pogasi i szykwas pozamyka.

Stał bosemi nogami na śniegu i rozmyślał, gdzie ma iść. Przyszła mu wnet do głowy myśl, aby się udać do dalekich krewnych, którzy mieszkali o dwie mile od Borysławia, z prośbą o pomoc. Ruszył więc wnet z miejsca i szedł boso ulicą, raniąc bosc nogi na zamarzniętych grudach. Nie zważał na krew, która mu ciekła ze skaleczonych nóg i jakby nie czuł zimna i boleści. Gdy wyszedł poza budynki w pole, kędy już nie było drogi, brnął śmiało po śniegu. Chociaż nie błagał o litość, wicher rzucał na niego tumany śniegu, jakby chciał okryć jego półnagie ciało.

Nie zważał na to. Stąpał krok za krokiem całym wysiłkiem i z wiarą, że gdy zajdzie do krewnych, znajdzie schronienie. Gdy brnął tak w śniegu, kręgi czerwono-świećne poczęły mu stawać w oczach. Stracił kierunek drogi, stracił siły, sen poczał mu ciężać na oczach, czuł się znużony, więc usiadł pod brzozą, aby odpocząć. Wierzył, że znów nabierze nowych sił i ruszy w drogę wzmocniony

Było mu miło, więc usnął.

Wicher na konarach brzozy grał mu pieśń grobową. Krew w nim stygła a nagie ciało okryły lśniąće pyłki szronu. Nie czuł już zimna ni głodu. Nie pragnął nic. Siedział jak kłoda, a życie, które uleciało z niego, zdało się z konarów brzozy szemrać.

— Masz, ziemio, napowrót twój owoc. Późrej zastygła krew. Niewola ma skończona. Droga ma wolna. Nic już nie żądam z twego płodu... Tułaczem byłem i tułaczem wracam. Wracam niczem, ale przynajmniej nieskałany krzywdą braci, na łono wieczności.

Śnieg przyodział trupa, a przechodnie rano napotkawszy go, dali znać o tem do urzędu gminnego. Urząd gminny przyjął niechęćnie to doniesienie do wiadomości i niemało miał z tą sprawą kłopotu. Znaleźli się jednak, co Michajła do kostnicy

cmentarnej zabrali. Komisja do niego przyjechała, aby przeprowadzić sekcję zwłok. Pogrzebano go, rzadkim tytułem, darmo.

Umarł szczęśliwy, troski nie sprawił ani księdzu — ani doktorowi. Nie zrobił kłopotu aptekarzowi, więc go wszyscy żalowali. Tylko jeden grabarz sarkał niezadowolony. Życzeniem grabarza było, że mógł w innym czasie zemrzeć, a nie w taką zimę. W takie mrozy warto grzebać bogaczy, bo ci się dobrze opłacają, a nie przybłędów, dziadów nagich! Zagrzebując więc zwłoki, rzucał na nie wielkie grudy zamarzniętej ziemi ze złością.

Z całego życia Michajły pozostał krótki raport urzędowy, który nie sprawił nikomu kłopotu, jak to bywa po śmierci bogaczów. Raport krótki brzmiał:

Na drodze wiodącej do Mrażnicy znaleziono nieżywego człowieka. Sekcja zwłok wykazała, że zmarł. Był niewiadomego pochodzenia. Został pogrzebany po chrześcijańsku na koszt urzędu gminnego w Borysławiu.

Na błoniach pożaru.

Nastał poranek. Zorza poranna roztoczyła jasne sklepienie ponad doliną, z której wznosiły się tumany dymu. Trup spalonego robotnika leżał jeszcze w ogrzewalni na brudnej desce. Obok trupa leżało trochę kości z drugiego spalonego, wydartych hakiem a przeznaczonych na pogrzebanie po chrześcijańsku.

Gazy i ropa w otworach świdrowych paliły się już wolno. Nie przeszkadzało im nic. Rudy spaliły się na popiół. Narzędzia żelazne pogieły się i leżały w bezkształtnych stosach. Każdy otwór świdrowy stanowił żywą pochodnię bez knotu i naczynia.

Pomiędzy te pochodnie chodzili kierownicy, dyrektorowie i właściciele kopalń, radząc o gaszeniu płonących otworów. Przedsiębiorcy gaszenia ognia dobijali z nimi targu. Który z takich przedsiębiorców zgodził się lub który z właścicieli chciał gasić na własną rękę, najmował kilkunastu albo kilkudziesięciu robotników za umówioną zapłatą, przyprowadzał ich na miejsce i tu po wydaniu im naczynia rozpoczynał robotę.

Gaszenie otworu świdrowego odbywa się w ten sposób: Ku otworowi, z którego wypływa płonący gaz i ropa, przysuwa się długie na kilkanaście metrów rury. Jeżeli wypływa dużo ropy, rury te są dłuższe, dochodzą czasem do 50 metrów długości. Gdy rury są już ułożone, wtedy robotnicy noszą ziemię, o ile można, najbliżej ognia i sypią wał w kształcie pierścienia, który otwór świdrowy otacza. Ponieważ zaś dostęp do ognia jest trudny, sikawki nieprzerwanie skrapiają zimną wodą tak ten wał, jako też i robotników, niosących ziemię. Wten sposób wał powiększa się coraz bardziej. Ropa, która się nie pali, odpływa założonemi pod spodem rurami już niepaloną w bezpieczne miejsce. Wał zaś rośnie i rośnie w wielki kopiec, dopóki ciężarem ziemi nie zadusi wypływającego i płonącego gazu. Jeżeli pali się szparami, robotnicy zabijają go przez uderzenie workiem.

Do tej pracy najmują się najczęściej baraby, ponieważ jest dobrze płatną. Cieszy ich więc bardzo, gdy wybuchnie pożar szybu, bo to ich żniwo. Dzisiaj więc radość była wielka, bo paliło się aż 32 szyby. Roboty było dość, a pracodawcy nawet kłaniali się niziutko barabom, żeby szli za dobrą zapłatą robić. Ci śmiali się z prośby, bo oni tylko czekali na robotę. Obżarci zrabowanemi wiktuałami, opici zrabowanemi trunkami, chwycili się roboty jak jeden. Który szyb był ugaszony, fura z materiałem budowlanym już tam jechały i wiozły materiał na nową budowę. Tutaj już taki zwyczaj, że szyb się jeszcze pali, a przedsiębiorca budowy wież i żurawi wiertniczych już się godzi stawiać nowy.

Praca pokrywa zniszczenie, zniszczenie obraca ją w nicość — wieczny kłopot, wieczne pragnienie zdobycia obfitych zysków odbywa się na porządku dziennym.

Baraby, którzy byli gośćmi Berka, pracowali wszyscy. Co zdobyli w nocy, a nie sporzyli, pochowali dobrze, aby to wieczór spożyć lub sprzedać. Najszczęśliwszym z nich czuł się Petro. Ten został wybrany do asystencji, jako straż honorowa trupa, który leżał w poczekalni, i reszty kości, które uratowano.

Stał dumny, patrzył z pogardą na tych, co musieli pracować. Nad ofiarą pracy, która leżała u stóp jego, nie czuł żadnej litości. Wierzył w to tylko, że ona jest jego chwilowem wybawieniem, bo inaczej musiałby pracować jak i drudzy.

Po co właściwie stał koło trupa, także nie wiedział. Kazali mu stać za zapłatą, więc stał. Ciekawym, którzy przyszli odwiedzić trupa, opowiadał o wielkości i pożytku katastrofy. Do wdowy zaś i do dzieci, które płakały obok resztek ojca w postaci kości, mówił:

— Co tam będziecie płakać. Dopust boski, więc stało się. I tak byłby się mąż majątku nie dorobił. Wam zapłacą za niego, dzieciom dadzą rentę i kwita. Mąż w niebie szczęśliwy. Nie musi połykać gazów po brudnych budach.

Przy opowiadaniu tem palił fajkę i śmiał się ze wszystkiego.

W kostnicy.

Koło godziny dziesiątej przed południem koło trupa było rojno. Przyszli koledzy spalonego, Mazurzy. Opatrzyli trupa z prawdziwem współczuciem, pomodlili się krótko nad zwłokami nieboszczyka i zabrali się do jego przebrania.

Rozwinęli zawiniątko i wyjęli z niego własną nieboszczyka garderobę, którą miał w pomieszkaniu od święta. Ściągali następnie z niego brudne łachmany, obmyli, o ile można było, spalone ciało i ubrali w przyniesione ze sobą ubranie, wdziali mu na nogi buty, a gdy już nieboszczyk był umundurowany, złożyli go napowrót na marach. Twarz mu przykryli kapeluszem, ponieważ była strasznie spalona.

Przy tem ubieraniu przyszło między Mazurami do małej sprzeczki. Poszło o to, czy dać nieboszczykowi do trumny zegarek czy nie. Przyjąć go na własność żaden z Mazurów nie chciał, jako własności nieboszczyka. Do trumny zaś — radzili — szkoda zegarka, bo się w ziemi zagubi. Więc jedni upierali się, aby go dać do trumny, drudzy zaś chcieli go darować jakiemu żebrakowi, aby się za ten dar za duszę Józka modlił.

Sprawę tę rozstrzygnął Małek, pomocnik wiertniczy, znany tutaj z wesołego usposobienia. Ten oglądniejszy zegarek, odezwał się (był jąkałą):

— Psie-psie du-du-se ten-te-te zegarek wie-wiele nie warto-to. Do-docie dzia-dzia-dowi prze-pi-pi-je, a przecie Józek był ka-ka-wa-wa-ler, to mu się na tamten świat przy-przydo, jak se ta-tam u-patrzy ła-łanie, to jak będzie wie-wiedziół, kie-kiedy robić kłapnis.

Słowa te wprowadziły wszystkich w wesołość, a Małek tymczasem przypiął zegarek nieboszczykowi do kamizelki.

Gdy Małek Józkowi zegarek przypinał, nadszedł kierownik kopalni. Mazurzy ukłonili się mu zdjęciem czapki i głośno wyrzeczonym „Szczęść Boże!”

Ten odpowiedział im również takim samym ukłonem a ujrawszy nieboszczyka oporządanego, pochwalił czyn robotników i podziękował im w imieniu zarządu kopalni, a przytem

jeszcze zaprosił ich na pogrzeb, który się miał odbyć nazajutrz po sekcji zwłok...

Małek słysząc to uklonił się nisko kierownikowi i począł mówić:

— Pa-pa-nie kie-kierowni-ku, przyjdziemy na-na po-po-grzeb, a-ale jak be-dzie co hałknąć (popić).

Kierownik się na to roześmiał i odparł:

— No, no! Dam, widzę, że macie suche gardła, ale musicie jeszcze pomódz zwłoki odwieźć na cmentarz. Fura nadejdzie niebawem. Już po nią posłałem.

Tu wyjął kierownik portmonetkę i wręczył Małkowi mały napiwek ze swojej kieszeni. Po resztę kazał się zgłosić po pogrzebie w kancelarji ruchu.

Małek jako już starszy zawodowy pijanica i kandydat na borysławskiego barabę, schował chciwie pieniądze do kieszeni i patrzył na najbliższych mu Mazurów, jakby pytając co ma za to zafundować. Nikt się na to nie odzywał, a wreszcie nie było na to i czasu, bo koło dołów płonących z ropą zrobił się straszny gwałt.

Najstarszy z bararabów Pawło, niosąc na barkach glinę w stronę pożaru, wpadł do płonącego oleju i został zasypany ziemią z oberwanego brzegu. Wszystko, co żyło i było w pobliżu, leciało na miejsce katastrofy. Mazurzy, którzy stali obok trupa z kierownikiem, byli tam pierwsi. O ratunku nieszczęśliwej ofiary nikt nie myślał, bo był niemożliwy. Zbliżyć się ku miejscu, gdzie wpadł Pawło, nie było możliwem, bo płomień nie dozwalały przystępu.

Mazurzy podumali chwilę nad brzegiem płonącego dołu, patrzyli smutnie oczami w miejsce, gdzie zginął człowiek dopóki ich nie oderwał stamtąd głos najstarszego z nich Jakóba, który popatrzywszy po otaczających go kolegach zawołał:

— Co będziemy tu dłużej patrzeć. Klękniemy lepiej i pomódlmy się za jego duszę. On tam właśnie teraz składa rachunek z czynów życia przed tronem Stwórcy. Modlitwa nasza będzie dla niego wstawieniem się o przebaczenie za jego winy.

Tu stary Jakób zdjął kapelusz z głowy, klęknął a wkoło niego wszyscy obecni, tak Rusini jak i Polacy. Pobożne Ojcie nasz, Zdrowaś i Wieczne odpoczywanie popłynęło na kłębach dymu przed tron Stwórcy. Od modlitwy nie wstrzymał się nikt. Modlili się i żydzi, którzy tu byli zatrudnieni, robotnicy, dozorczy i przedsiębiorcy gaszenia ognia. Płakać za Pawłem, to nie płakał nikt. Nie miał żony i dzieci. Skąd pochodził, gdzie się urodził, ile miał lat, nikt nie wiedział. O śmierci jego, powiadomiono tylko dzienniki lwowskie, a na szpaltach ich po paru dniach ukazał się w kronice krótki ustęp:

„Przy gaszeniu pożaru w Borystawiu zginął robotnik imieniem Paweł, wpadłszy przez nieostrożność do płonącego dołu. Robotnik ten był niewiadomego pochodzenia“.

Pomiędzy zaś barabami nieraz wspominano o Pawle. Przy każdym takim wspomnieniu stwierdzano, że był podówczas bardzo pijany. Mimo to żalowali go ludzie bardzo i to nie tylko za to, że był szczery, ale i za to, że to był najstarszy wiarus borysławskiej propinacji.

Mazurzy po skończonej modlitwie udali się napowrót ku zwłokom Józka, po które tymczasem zajechała fura. Złożyli więc ciało należytą czcią na wóz deskowy, używany do wozienia węgla, postawili koło niego wiaderko z resztą kości z drugiego nieboszczyka i rozeszli się do domów.

Pozostał tylko Małek. Ten z Petrem usiadł sobie koło furmana i pojechał razem na cmentarz, by pomódz znieść zwłoki do kostnicy.

Wóz toczył się, tyrkocząc po zamarzniętych grudach. Co na nim się wiezie, nikt nie wiedział. O tem zaś, że na wozie wiozą nieboszczyka, nikt nawet nie pomyślał. Ktoby to był nawet przypuścił, że na takim brudnym wozie mogą wieść człowieka zmarłego. Byłoby to dla wszystkich obrazą. Wiedział otem zarząd kopalni Petra i Małka jako też kilku Mazurów, którzy tylko zacisnęli w cichości zęby, bo na sprzeciwienie się nie mieli odwagi, a po większej części nie chciało się im robić o to kłopotu.

Wóz zawiózł więc zwłoki na cmentarz tak jak pod sekretem. Tu po zawiadomieniu grabarza, który także przyszedł pomódz znieść zwłoki, złożono nieboszczyka starannie na marach. Grabarz nawet zapalił świecę, aby nieboszczyk leżał po chrześcijańsku.

Furman, który był z góry zapłacony, odjechał za innym zarobkiem.

Petro usiadł sobie w kącie kostnicy, aby spocząć, Małek zaś poleciał do szynku, aby za otrzymane na napiwek pieniądze co chałknąć i przytem przynieść cokolwiek Petrowi. Grabarza także za pomoc należało poczęstować.

Gdy wyszedł Małek, grabarz przyniósł z pod ściany kostnicy kawałek zbutwiałego krzyża, porąbał go i zapalił w piecu, aby Petrowi nie było zimno siedzieć.

Zanim Małek powrócił, ogień w piecu polany ropą rozpałił się na dobre. Przeto Małek, powróciwszy z dwoma flaszkami okowity, najpierw się ogrzał, a potem dopiero wziął się do odkorkowania przyniesionych flaszek. Ze zgrabiałemi od zimna rękami byłby tego nie dokonał.

Petro z rąk Małka jeszcze we drzwiach wziął kawał chleba, dwa śledzie i paczkę tytoniu. Jedząc chleb z śledziem,

prowadził z grabarzem ciekawą pogawędkę. Opytywał się go, jakie ma dochody? Czy wystarcza mu to na wyżycie z familją..? Czy dużo ludzi umiera i t. p.

Małek zaś, ograwszy sobie ręce, dobrze ujął pełną flaszkę i przypił na zdrowie grabarza.

— No — na zdro-zdrowie ci stary.

— Daj Boże — odparł grabarz i pociągnął całym łykiem.

Małkowi jednak ten łyk, jaki pociągnął grabarz, zdał się za mały, więc zawołał:

— No, pociąg stary jak się należy. Jak umrę to mię w pięknem suchem miejscu pochowasz. Chcę, aby mię żaby nie cyczkały po śmierci.

Grabarz się na to roześmiał wesoło, pociągnął znowu dwa łyki na zdrowie Petra i oddał flaszkę Petrowi.

Petra nie trzeba było uczyć pociągnąć z flaszki. Umiął to lepiej od grabarza.

Małek odezwał się do grabarza:

— A widzisz, piero-ronie jo-jo wiedzioł, że ty lu-lubisz chałknąć.

— A jakbym tu inaczej wytrzymał — rzekł grabarz z uśmiechem.

Petro tylko przyświadczył słowom jego i zwrócił flaszkę Małkowi i tak szła kolejka za kolejką, a w miarę picia trójka była coraz weselsza. Głosy ich były coraz krzykliwsze, aż wreszcie połączyły się w pieśń, nuconą zazwyczaj u Berka na Drohobyckim trakcie:

Wódki mi dać,
Piwa mi dać,
Bo mi wiecheć
Z buta widać!

Trójka bawiła się wesoło w kostnicy koło trupa. Że ma się zmierzchać, nie obchodziło ani Petra ani Małka. Tylko grabarz był przezorniejszy.

Gdy wyrzał na pole i ujrzał, że lampy po ulicach już się świecą, wspomniął sobie, że ma grób kopać. Trochę mu to było, jak sam twierdził, nijako, że stracił kilka godzin na darmo, a przytem jako pijany nie mógł się chwycić roboty.

Drapał się po głowie i myślał, co ma począć. Z roztargnienia tego wybawili go Małek i Petro, przyrzekając mu nazajutrz pomoc w kopaniu grobu.

Grabarz dziękował im za to z góry, serdecznie ścisnął ich dłoń, na pożegnanie życzył im dobrej nocy, a nawet dali sobie pyska, mówiąc:

— Z takimi ludźmi to tylko żyć i bawić się!

Grabarz wyszedł, chwiejąc się na nogach. Petro zaś ani wyjrzał za nim na pole. Nakładł sobie tytoniu do fajki i podszedł ku świecy, która paliła się koło głowy Józka.

Gdy brał ze świecy ogień do fajki, przyszło mu do głowy, że świeca jest za krótka, aby się paliła przez całą noc. Siedzieć po ciemku byłoby mu niemiło na cmentarzu, koło trupa. Duchów wprawdzie się żadnych nie obawiał, ale zawsze zdało się mu, że gdy się będzie świecić, to mu prędzej noc zleci. Stanowiska zaś swego nie chciał opuścić, ponieważ spodziewał się za swą służbę dobrej zapłaty.

Przywołał więc Małka na poradę. Małek, namyśliwszy się trochę, odpowiedział:

— Jeśli mi oddasz, to ci kupię za swoje pieniądze świecę.

— Twojego nie chcę. Mam swoje pieniądze. Idź i kup i to nietylko świecę, ale przyniesź jeszcze paliwa, to wypijemy i posiedzisz ze mną. Mnie samemu smutnoby było siedzieć.

Tu rozwinął brudne zawiniątko i dał Małkowi dwie korony. Małek zaś wziąwszy pieniądze, zapewnił Petra, że co daje na świecę, to mu powinien zarząd kopalni zwrócić.

Ograbienie trupa.

Małek i Petro po wypiciu trzeciej flaszki usiedli w kącie w cichości. Głowy ciężły im, więc nie czuli żadnej obawy przed duchami zmarłych.

Świeca, którą przyniósł Małek, paliła się w lichtarzu. Zapalił ją Małek, bo Petro był jak bez duszy. Spał oparty o narzędzia grabarza, złożone w kącie.

Małek tymczasem czuwał. Coś ciągle pod nosem mruczał, przykładając śnieg na głowę i próbował stanąć na nogi. Sztuka ta długo się mu nie chciała udać, bo nietylko nogi mu odmawiały posłuszeństwa, ale i głowa nie chciała się utrzymać na tułowiu prosto, tylko kładła się sama na podłogę.

Po długich jednak usiłowaniach powstał na nogi. Wygramolił się na cmentarz, legł na grobie i wycofał nadmierną ilość alkoholu, zawartą w żołądku.

Zrobiło mu się wtedy źlej, więc usnął. Sen jednak ten nie potrwał długo, bo zimno dało się wnet odczuć i zbudziło go.

Powstał więc na nogi skurczony i dygotać zębami powrócił do kostnicy. Tu chciał się ogrzać, ale ogień już dawno w piecu wygasł. Piec był zupełnie zimny. Zastanowił się więc, co ma zrobić.

Do mieszkania trudno mu było wracać, bo zimno nim trzęsło jak febra. Palić w piecu nie miał czem.

Zastanawiając się nad tem, popatrzył na trupa, a zobaczwszy na nim dobry surdut, wpadł na myśl, aby go zdjąć i wdziać na siebie.

No, ale jak to zrobić. Jeśli się Petro zbudzi, to na to nie pozwoli.

Poruszył więc Petra najpierw dobrze, a gdy się przekonał,

że śpi twardo, zewlókł surdut z nieboszczyka i wdział go na siebie.

Zrobiło mu się trochę cieplej; tarł ręką o rękę i myślał, co dalej robić. Czy surdut wdziać nazad na Józka, czy iść w niem do mieszkania. Pomyślał jednak, że najlepiej zrobi, gdy pójdzie w surducie, a dla zatarcia śladu, żeby Petro nie mógł zrobić przypuszczenia, że on surdut skradł, rozbierze trupa całkowicie ze wszystkiego! Wtedy tak Petro jak i wszyscy ludzie będą myśleli, że to zrobił złodziej.

Klęknął więc na kolana, pomodlił się krótko za duszę Józka i przeprosił go, żeby się nie gniewał o to, bo przecież ubranie mu do królestwa niebieskiego nie jest koniecznie potrzebne.

Następnie rozebrał trupa do koszuli, nawet z butów, związał odzież w tłumoczek i wyszedł z kostnicy wesół i zadowolony. Cieszył się, że będzie miał galantne ubranie, a co najważniejsze, zegarek, którego już dawno kamizelka jego nie widziała.

Miał nawet to przekonanie, że sam Bóg podsunął mu rano myśl włożenia Józkowi zegarka do trumny, dziękował więc w myśli Bogu i wracał spieszny krokami do mieszkania.

Smierć Małkowej.

Borysław podobny jest do małego miasteczka. Miastem jakoś nie miał nazwać się ochoty; czemu, to nie wiadomo. Czy dlatego, że wrząc cały przemysłem i handlem, nie miał na to czasu, czy też ponieważ nie posiada większej ilości ulic i rynku, któryby mu dał wygląd miasta.

Pomimo to handel odbywa się tu na większą skalę, niżli w pierwszym lepszym stołecznym grodzie. Sklepów tu pełno, szynków jeszcze więcej, a wszystko okryte brudem. Czysto ubranego człowieka nie zobaczy tu. Jeżeli tu kto zawita ubrany porządnie w czasie słoty, to zbabrze się cały w błocie, które ulicami płynie po kolana. Jeśli zaś trafi na czas suchy, to wielka ilość kurzu ulicznego, wzniesiona wiatrem i nieustannie jadącymi wozami, zmienia go do niepoznania. Poza tem natłok uliczny nigdy tu nie ustaje. Ludzie zaś z tego natłoku, przeważnie robotnicy lub baraby, ubrani w brudne, olejem skropione łachmany nie ustępują nikomu z drogi. Ustępowanie nie było tu nigdy w zwyczaju. Ubranemu zaś porządnie wystarcza obetrzeć się o jednego takiego przechodnia, by zmienił się wygląd jego ubrania. Plamy, które otrzyma w prezencie, nie dadzą się wyczyścić i pozostają stałą pamiątką.

Kanałów Borysław nie ma żadnych. Jediną jego ulic ozdobą jest oświetlenie elektryczne i chodniki z desek ponad rowem obok gościńca. W tych rowach pełno kryje się gnoju, śmiecia, błota, padliny i cuchnącej wody, która nigdy nie wysycha. Stąd katar jest tu na porządku dziennym.

Ulic ma Borysław cztery, Pańską, Potok, Trakt Drohobycki i Wolaniecką. Oprócz tego podzielony jest na dzielnice, a każda z nich nosi nazwę stosowną do swego wyglądu. I tak Nowem

Światem zwie się kilkadziesiąt krzywych ruder, służących za mieszkania, zbudowanych na olbrzymich wysypach kopalni wosku. Dzielnica ta leży na wschodniej stronie, a znana jest z tego, że na całym jej terenie niema ani jednej studni, ani drzewka, ani zielonej trawki. Miejscowość zaś z południowej strony, pomiędzy ulicą Potok i Pańską zwie się Debrą. Pod Debrą leży płazina, zwana Pod Debrą, słynna z tego, że w niej nigdy błoto nie wysycha. Pozatem są jeszcze bagna również zabudowane, zwane Moczarami i Łoziną. Miejscowość zaś, na której znajduje się stacja kolei żelaznej, zwie się Tarnawka.

Otóż w miejscowości zwanej Pod Debrą, najuboższej ze wszystkich, znajdowało się mieszkanie Małka. Miejscowość tę zamieszkiwali przeważnie złodzieje, łebacy, trudniący się łapaniem zbiegłej na rzecze ropy. Uboga ludność cisnęła się w ten kąt bardzo, bo czynsz mieszkaniowy był tu najniższy i o opał nie było trudno, gdyż blisko było do kopalni, dającej palną ropę. Kupna opału mieszkańcy Pod Debrą nie znali.

Małek jako nie lubiący mieć dużo wydatków, a przytem chciwy na lekkie dochody, wybrał tę miejscowość na swą siedzibę. Mieszkał w domu położonym na małym pagórku, a mieszkanie jego składało się z jednej izby i sieni, która mu służyła za magazyn. Umeblowanie izby składało się z trzech łóżek z nieheblowanych desek, prostego stołu, wiaderka na ropolit i małej brudnej szafki na naczynia kuchenne. Kufra ani szafy nie potrzebował, bo z odzieży nie miał więcej tylko tyle, co na sobie.

O rodzinę nigdy się nie starał. Żona jego Anna musiała na siebie zarobić, starać się o pożywienie i o odzież. Małkowie mieli tylko jednego synka, Michasia pięcioletniego, a ten wiele nie potrzebował. Chodził tak zimą jak i latem boso, w długiej brudnej koszuli, z gołą głową. Ubranka matka nie miała mu za co kupić, a ojciec, co zarobił, to przepił. Anna niemało musiała z nim walki stoczyć, żeby jaki grosz wydusić na opłacenie czynszowego lub innych potrzeb domowych. Małek o innym wydatku oprócz wódki nie chciał słyszeć.

Małek choć małe miał pomieszkание, trzymał u siebie współlokatorów, ponieważ sam nie mógłby opłacić czynszowego. Mieszkanie Małka, niewielkie, wilgotne i podłejsze od pierwszej chłopskiej stajni, kosztowało 20 koron miesięcznie. Na taką kwotę Małka stać nie było.

Współlokatorzy jego byli ludźmi gorszymi od samego Małka. Byli to dwaj zawodowi złodzieje. Siedzieli tu ze swemi nieślubnymi żonami, które chcąc mieć dach nad głową, wspomagały Małkową, gdy posprzeczała się ze swym mężem. Gdy Małkowa wszczęła z mężem kłótnię, to jedna z lokatorek sukrowsowała ją i stawała w jej obronie, a obrona ta była dla gospodyni tem potrzebniejszą, gdy przyszło do bitki, bez jakiej się tu

rzadko która kłótnia kończyła. Trzy te kobiety żyły w wielkiej przyjaźni, a po każdej kłótni przyjaźń ich stawała się trwalsza.

Pożycie zatem Małkowej w takich warunkach było godne politowania. Większych i zacniejszych matek, które wychowują w takich warunkach zdrowe i dobre dzieci, niema od Małkowej: każdy bowiem przyznał, że Michać był zdrowem i dobrem dzieckiem, wychowanem na tym chlebie, który matka jego od ust sobie odejmowała.

W takim stanie znajdowało się Pod Debrą pomieszkanie Małka w ten wieczór, gdy Małek wrócił do domu z kostnicy. Żona jego Anna już spała wraz z dziecięciem na łóżku. Współlokatorów nie było w domu, gdyż za jakieś złodziejstwa przesiadywali karę więzienną w Samborze. Żon ich także nie było, bo poszły na zarobek... jak się to mówi... na ulicę.. Przy łóżku Małkowej świeciła się lampa.

Małek zajrząwszy oknem do izby, nie myślał żony budzić. Wyjął z kieszeni nóż, odłożył nim haczek, na który były zamknięte od wewnątrz drzwi, i wszedł do sieni.

Wszedłszy, zdjął z siebie surdut, zawinął w niego resztę skradzionej garderoby i rzucił na strych. Uczynił to z obawy przed swą połowicą. Bał się jej, gdyż nieraz, nie mogąc wydobyć od niego grosza, groziła mu zdradą jego zbrodni przed władzą. Małek więc był przezorny. Wszedłszy do izby, rozglądał się po niej, po kuchni, po stole, szukając co do zjedzenia. Nie znalazłszy nic, zbudził Annę i zagadnął:

— Hanka, nie-nie masz co do-do zjedzenia? Ja-ja bym chciał co hauknąć, bom głodny.

Kobieta, która spała głodna sama, zerwała się ze złością jak wściekła a ujrzawszy Małka pijanego, rozpoczęła taką litanję słów obelżywych, że ten aż się zatrzęsł od złości.

— A cóżbyś ty chciał pijaku, barabo, chyba ropy z wiaderka. Dałeś na co pieniądze? Samam prawie jeszcze dziś nie jadła. Dziecko sobie u żyda wyprosiło kawałek chleba, a ty włóczysz się i pijesz? Pijany przychodzi do domu, nie przyniesie — a daj mu jeść! Baraba, pijak!

Tu kobiecina wstała, postawiła Małkowi próżne garnki na stół i czyniła mu docinki ze straszną wściekłością. Oczy jej wywracały się białkami, na usta wychodziła piana, a nerwy jej grały tryumf złości, którą wyrzucały jej usta.

Nieszczęście przytem chciało, że Anna spostrzegła u męża zegarek skradziony w kostnicy. Zobaczywszy go, poczęła wrzeszczeć:

— Zegarek sobie kupił, a że dziecko z głodu umiera, to mu nie w głowie.

Tu poczęła płakać. Małek widząc jej płacz, roześmiał się i odrzekł ze szyderstwem:

— Widzisz ten ze-zegarek? Przypatrz się m-mu do-dobrze. Dostałem go od ko-kochanki. Ona lepiej będzie dbać o mnie jak ty.

Powiedziawszy to, trzymał zegarek w ręku i drażnił się z nią. Anna wybuchła nowym płaczem.

— A co ja mam robić, ja twoja ślubna żona?

— Idź sobie zarobić tak jak te, co mieszkają u ciebie. Jest tu dosyć takich, co szukają miłości i za nią płacą dobrze.

Tego już Annie było za wiele. Skoczyła jak wściekła do Małka. Wydarła mu z ręki zegarek i rzuciła nim całą siłą w jego twarz w chwili, gdy Małek nie był na to przygotowany. Zegarek oddał od twarzy Małka, znacząc ją siniakiem, spadł na podłogę i rozleciał się.

Małka cios ten i utrata zegarka doprowadziły do szału. Zerwał się na nogi chwycił w rękę garnek żelazny i uderzył nią, co siły żonę w plecy.

Anna, która podczas ciosu ratowała się ucieczką, padła na podłogę z rozkrzyżowanymi rękami, rozciągnięta jak zajac. Cios ten uderzył ją w okolice nerek i był tak gwałtowny, że została bez ruchu, jęcząc boleśnie. Małek kopnął ją jeszcze parę razy, leżącą na podłodze, a widząc, że się nie rusza, wybiegł na pole z domu.

Anna leżała, jęcząc bolesnym płaczem. Michaś, który podczas całej awantury płakał w kącie na łóżku, zwlókł się do matki Otoczył jej szyję rączkami i wołał.

— Mamo! Mamo! Nie płacz. wstań, dam ci wody.

Ale Anna już tego głosu zdała się nie słyszeć. Oczy i usta zaszyły jej krwią. Ręką ani nogą nie mogła ruszyć. Po chwili takiego leżenia poruszyła się z trudem z miejsca. Powlekła się na barłóg i legła z jękiem. Michaś siadł koło jej głowy. Głaskał ją i otulał.

Po niedługim czasie leżenia na łóżku przytuliła Małkowa do siebie jeszcze raz Michasia, a wzrok konającej pożegnał go i pobłogosławił. Głosu jednak przytem nie wydała żadnego. Bo nie tylko boleść nie pozwoliła jej mówić, ale i żal matki, która widziała z góry losy po sobie upuszczonej sieroty oblał ją łzami żalości, ścisnął jej gardło i pomógł skonać. Anna zamknęła oczy na zawsze.

Daremnie Michaś obejmował jej szyję. Daremnie budził i wołał:

— Mamo nie śpijcie? Nie bójcie się, taty już nie ma. Już was bić nie będą, bo poszli pić do karczmy.

Anna nie poruszyła się. Konwulsje wykrzywiły jej twarz strasznie — leżała już bez duszy...



W najbliższym czasie ukaże się dłuższa powieść p. Ludwika Bugny, w której autor przedstawia życie robotników - nacierzy w najdrobniejszych szczegółach. Powieść ta zainteresuje z pewnością czytającą publiczność, a dla pracujących w przemyśle naftowym będzie cenną pamiątką. Nikt bowiem nie potrafi tak wiernie i tak dokładnie odtworzyć tego życia, jak sam robotnik. P. Ludwik Bugno utrwali w książce to życie, którego wierny obraz pozostanie nawet wtedy, gdy sam Borysław jako ognisko przemysłu naftowego straci już obecną wartość.

5, - m

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000617513



II 172841

... to twoja ślubna ...